EKSPANZJA JAKO WYNIK ŻYWOTNOŚCI NARODU.

Naród, jak każdy organizm żyjący, musi ciągle się rozwijać, tak wewnętrznie, jak zewnętrznie. Stąd też wszędzie tam, gdzie narody się ze sobą stykają, czy to na pograniczach politycznych, czy też nawet wewnątrz państwa, tam, gdzie narody jakieś tworzą wyspy wśród narodu panującego, mimo stosunków wzajemnych pokojowych, a nawet przyjaznych, odbywać się muszą ciągłe absorbcje i resorbcje, jeden organizm narodowy prze na drugi. I jeżeli tylko środki tego żywiołowego naporu są moralne, wtedy i samej tej naturalnie walki potępiać nie można. Każdy naród winien stać na straży swych interesów, i równie legalnemi środkami może ekspanzję narodu sąsiedzkiego powstrzymywać. — O tych zasadach trzeba zawsze pamiętać, gdy chodzi o słuszne osądzenie stosunków granicznych między narodami, one nam pozwolą patrzeć trzeźwo i bez szowinizmu, bez niezdrowego i niechrześcijańskiego nacjonalizmu a zarazem podać trafne środki legalnej obrony.

Po tym wstępie chcielibyśmy zwrócić uwagę czytelników naszych na ten kraj, który jest od wielu wieków, bo prawie od początku powstania państwa polskiego, widownią szczególnych naszych zmagań się z jednym z naszych najpotężniejszych sąsiadów, z Niemcami. Krajem tym jest Śląsk. Kiedy lat temu kilka po niesłychanych wysiłkach odzyskaliśmy część jego, zdawało się wielu, że walka tyluwiekowa wreszcie skończona, że przynajmniej część tę Śląska na zawsze w spokojnem zatrzymamy posiadaniu. Oczywiście sądzić tak, znaczyło nie rozumieć psychologji narodów wogóle i niedoceniać jej w szczególności odnośnie do narodu tak potężnego i tak niezmiernie żywotnego, jakim bezsprzecznie jest naród niemiecki. Parcie niemieckiej narodowości na Śląsku nietylko nie ustało, lecz owszem się wzmogło, a co jeszcze ważniejsza, przemaga ono odporność naszej narodowości i cicho

a bez rozgłosu, ale zato skuteczniej nawet niż dawniej, pochłania germanizm w swych głębokich nurtach ludność tamtejszą.

Na sprawę tę, tak ważną dla całej ententy, zwraca uwagę bardzo poczytny i wpływowy belgijski tygodnik katolicki: „La revue catholique des idées et des faits“, w numerze z dnia 6 maja b. r. Wskazuje owo pismo na tę niepokojącą okoliczność, że dotychczas Śląsk górny, mimo tego, że politycznie należy do Polski, jest jednak ekonomicznie jak najściślej związany z Niemcami, a Polska, jak dotąd, bardzo ma tylko niewiele korzyści z przyłączenia do niej tego kraju, Nadto zaś cały prawie, bo dziewięć dziesiątych części wynoszący kapitał, jakim Śląsk górny pracuje i dla którego pracuje, to kapitał niemiecki. Cały przemysł metalurgiczny Śląska jest w rękach pięciu tylko towarzystw akcyjnych i wszystko trzymają Niemcy w swym ręku. A dodaje ten tygodnik, że w latach ostatnich sytuacja dla Polski nietylko nie uległa zmianie na korzyść Polski, lecz owszem, jeszcze się pogorszyła. I ostrzega to pismo, że jeżeli Polska nie wyswobodzi przemysłu górno-śląskiego z pod hegemonji niemieckiego kapitału, Niemcy pozostaną nadal rzeczywistymi panami kraju. Nie wystarczy, czytamy tam, by Śląsk był polskim terytorjalnie tylko i politycznie, muszą go nadto z Polską łączyć ścisłe węzły ekonomiczne.

Na takiem tle szczególnie ponurego znaczenia nabierają dla nas wiadomości, jakie otrzymaliśmy z bardzo wiarogodnego źródła. Mówią one bowiem, że Niemcy opanowują już nietylko majątek kraju, ale zagarniają wprost to, co stanowi naród i jego przyszłośc, mianowicie dzieci nasze. Doszły nas wiadomości, że w ostatnim roku ponad ośmnaście tysięcy dzieci polskich przeszło do szkół niemieckich, Powodem zaś tego panująca w kraju bieda. Niemcy bowiem rodzicom polskim, którzy dzieci swe posyłają do szkół niemieckich, wypłacają wydatne stałe zapomogi.

Nadchodzą też wiadomości z niemieckiej części Śląska, że w fabrykach tamtejszych, chociaż tam także stosunki robotnicze ciężkie, znalazło jednak pracę kilka tysięcy robotników Polaków z polskiej części Śląska, ale także pod warunkiem, że dzieci swe posyłać będą do szkół niemieckich. Praca germanizacyjna udaje się więc obecnie lepiej, niż za dawnych czasów, a będzie głębsza i skuteczniejsza, bo odbywa się bez przymusu, przynajmniej zewnętrznego.

Próbowali też Niemcy i innych sposobów, mianowicie usiło-

wano do pracy germanizacyjnej zaprząg nąć katolickie stowarzyszenia czeladników, które miały być ogniskami niemieckich obywateli i centrami propagandy. Gdy jednak ze strony polskiej dostrzeżono, że do tych stowarzyszeń należy paru tylko czeladników, a inni, to ludzie już starsi i na różnych stanowiskach społecznych, niebezpieczeństwu zdołano na czas zapobiec.

Nie piszemy o tem wszystkiem po to, by Niemców podać w nienawiść i budzić waśni narodowych, które zawsze i wszędzie są sprzeczne bezwzględnie z duchem Chrystusa i z duchem katolickiego Kościoła. Owszem, należałoby raczej Niemców za wzór stawiać pod pewnym względem, mianowicie za wzór ofiarności i poświęcenia dla swych ideałów narodowych, chociaż sposobów jakiemi walkę narodowościową prowadzą, pochwalić nie można. Po klęskach wojennych zakasali energicznie ręce i wzięli się całą siłą do pracy tak, że w ekonomicznej odbudowie stanęli na czele wszystkich narodów i chcą i mogą nawet w tych tak ciężkich czasach oddawać wielkie sumy na szerzenie niemczyzny na Sląsku. Czemu ich w tem nie naśladujemy? Bo nam brak cnót obywatelskich. Dezorganizujemy się wewnętrznie, chronimy próżniactwo zapomocą wyjątkowo ściśle przestrzeganych ustaw, nie oszczędzamy, lecz ostatni grosz staramy się rozrzucić i potem, gdy nam przyjdzie zmierzyć się z potężnym współzawodnikiem, stajemy bezradni. Tymczasem ekspanzję narodów sąsiednich wstrzymać możemy tylko ekspanzją, lub przynajmniej wewnętrzną prężnością, opartą na prawdziwej wewnętrznej tężyźnie. Gdy nam tej zabraknie, wzgardzą nami przyjaciele nasi, pochłoną nas wrogowie nasi.

—o—

ORGANIZACJA OBRONY RELIGIJNEJ WE FRANCJI.

Rok jubileuszowy 1925 stanie się epokową datą w religijnej historji Francji. Wobec pogróżek antyklerykalizmu znajdującego się u władzy, świadomość religijna się budzi, organizuje się wspaniały ruch religijnej obrony, mnożą się manifestacje ludowe, nasi przeciwnicy poczynają się wahać.

W ciągu historji katolicyzm poznał następujące po sobie w nieregularnym rytmie okresy prześladowań i spokoju. W ten sposób w biegu sześćdziesięciu lat ostatnich kościół francuski widział jak jego stosunki z państwem przeobrażają się, jużto w kierunku porozumienia i szacunku, jużto w. kierunku zaczepnej pogardy. Cesarstwo udawało, że go szanuje ze wzglę-

du na jego usługi. Powstająca republika pozostawiła mu z początku korzyści wypływające z legalnego porozumienia, jakiem był konkordat. Wkrótce poczęła objawiać mu nieżyczliwość, a porozumienie legalne łagodziło zaledwie jej wyraz. Ta nieżyczliwość wzrastała ciągle, a powoli zamieniła się w otwartą walkę. Zlegalizowane niejako niechęci wybuchnęły otwarcie około roku 1881, wraz z prawami Ferry'ego. Na przemiany, powstając lub przycichając trwały one naogół aż do 2 sierpnia 1914 r. Tego dnia, wedle słów dobrego poety andegaweńskiego Marc Leclerca, dzwony francuskie „uderzyły na trwogę, zamiast na Anioł Pański", tego dnia skończyło się legalne prześladowanie; złożyło ono, jeżeli można się tak wyrazić, broń, lecz nie zniszczyło jej: zawieszono prawa wyjątkowe — prawa świeckie; katolicy korzystają z pewnego rodzaju zawieszenia broni. Wskutek patrjotycznej bezinteresowności i politycznej zdolności przystosowania się, nie uważali za stosowne zażądać, by zawarto z nimi prawdziwy i legalny pokój, mieszczący w sobie zniszczenie broni legalnej, ukutej przez ich przeciwników. W ten sposób nie rozwiązano, lecz tylko zręcznie ominięto zagadnienie „bezpieczeństwa katolickiego", lecz opóźnienie tego rozwiązania pociągnęło za sobą wielkie straty dla katolicyzmu.

Od sierpnia 1914 r. do maja 1924, kościół nawpół uwolniony z pęt, rzeczywiście jeżeli nie prawnie oddaje się na usługi publicznemu dobru. Służy — więc żyje. Jego powodzenie moralne dorównuje jego urokowi, jego znakomite usługi patrjotyczne na wewnątrz i zewnątrz, wykazują całą śmieszność i całą złośliwość wyjątkowego ustroju, który ongiś go szykanował, a zwłaszcza wstrętny i obelżywy charakter diminutio capitis wymierzonej przeciw zakonnikom i zakonnicom. Nadchodzą lata 1919 do 1924: wszyscy spodziewają się ujrzeć kościół francuski wyposażony w końcu w statut regularny, sprawiedliwy i trwały. Czyż zresztą nie upomina się on o wspólne prawo, to znaczy o pewien rodzaj traktowania na stopie równości, w wolności — bez rezygnacji jednakowoż z praw absolutnych, które otrzymał z racji swego boskiego i nadprzyrodzonego prymatu? Naprawdę zdawało się, że godzina legalnych wynagrodzeń powinna była wybić wkrótce.

Nagle, dnia 11 maja 1924 r., dzięki powodzeniu przy wyborach, wrogowie Kościoła wracają do władzy. Nic pozornie nie wskazywało na to, żeby antyklerykalizm miał być główną stawką tego powodzenia. Od dnia 17 czerwca pan Herriot otworzył ponownie erę „niebezpieczeństwa katolickiego", prowokacji i dokuczliwości w stosunku do Kościoła, kongregacyj oraz instytucyj katolickich. Pan Herriot pełnomocnik lóż, socjalizmu i radykalizmu połączonych w celu wyzyskiwania władzy, sądził może, że katolicyzm we Francji jest przeżytkiem, formą, hipotezą i że będzie mógł bez ryzyka i niebezpieczeństwa przyjąć względem niego chełpliwą postawę przy jednomyślnym poklasku stronnictw politycznych, które go wyniosły na szczyty władzy.

Było to krótkotrwałe złudzenie. Powstał istotnie człowiek, który posiadał powagę, jaką daje szlachetność czcigodnego nazwiska, noszonego chlubnie od wieków, wielkość duszy, wypróbowaną w ojcowskiem cierpieniu, doskonałą dostojność życia, surową wierność obowiązkom, rodzinną odwagę, która płodzi licznych synów, patrjotyczną odwagę, która ich oddaje Ojczyźnie, urok wojskowy. Był to generał de Castelnau.

Gdzie katolicy się organizują.

W dniu 11 maja, w dniu zaistnienia moralnej dyktatury masonerji i parlamentarnej dyktatury socjalizmu, katolicy francuscy nie byli zorganizowani; zapewne, wkładali oni swą szlachetną czynność w mnóstwo dzieł, bez wątpienia nawet poważne ugrupowania, pod nazwą związków parafjalnych i diecezjalnych oddawały się dziełom gorliwości, obronie religijnej, a nawet tak odpowiednim dziełom społecznym. Nie było jednak istotnego węzła między temi dziełami i temi ugrupowaniami, nie było programu wspólnego działania, ani wytycznej, za którąby poszli wszyscy, ni też jedności zarządu. Znakomite wojsko, lecz ujęte w niedość silne ramy, mało ćwiczone, strasznie indywidualne. Z takiem wojskiem dokonuje się niezliczonych czynów bohaterskich, lecz przegrywa się bitwę.

17 czerwca 1925 r. pan Herriot wypowiedział wojnę francuskiemu katolicyzmowi. Brak przygotowania katolików do obrony czynnej i uporządkowanej, okazał się natychmiast również niebezpieczny, jak istotny. Religijni naczelnicy Francji posiadali zbyt wiele zmysłu przewidywania na to, by się tem nie zaniepokoić: ich usiłowania przejawiły się wkrótce. Generał Castelnau ze swej strony już od lipca 1924 r. niepokoił się wypadkami w Alzacji, gdzie protest katolicki przeciw groźbie antyreligijnej wybuchnął z szybkością i siłą fizycznego odruchu. Generał napisał do Mgr. Ruch, wskazując mu możliwy sposób stworzenia organizacji obronnej.

Od początku miesiąca sierpnia przesyłał naszym biskupom w rękopisie broszurkę, która miała wzbudzić donośne echa: „Dyktatura masonerji", przez M. Michel; wyjawiano w niej plan ataku ze strony masonerji; ustalała ona ciekawe porównanie i przedziwną zgodność między tym planem, a planem ataku, zawartym w oświadczeniu pana Herriot.

Generał Castelnau.

Odpowiedzi biskupów były jednomyślne: należało podnieść do wyższej godności głęboką jedność katolików, ustalić łączny plan działania dla obrony swobód religijnych.

W październiku rozpoczęto wykonanie. Generał Castelnau założył Ligę katolików z Rouergue: czyż nie należało bowiem, aby naczelnik katolicki zażądał dania przykładu od swego rodzinnego kraju? —

W międzyczasie zresztą młodzi katolicy baskowie i z Landes, przy pomocy księdza Bergey, tego drugiego, tak popularnego naczelnika, rozpoczęli szereg wielkich manifestacyj publicznych, uwieńczonych zachęcającem powodzeniem.

W międzyczasie także religijni byli żołnierze założyli Ligę Praw religijnego byłego żołnierza, którą sławny list O. Donceur „My nie odejdziemy" uczynił znaną i silną. Znalazła ona wkrótce siostrzycę i współdziałaczkę w Lidze Kapłanów byłych żołnierzy, którą założył i której następnie przewodniczył ksiądz Bergey.

Dnia 26 października generał Castelnau wydał pierwsze wezwanie do związku wszystkich sił katolickich. Już nazajutrz episkopat francuski uznał je jednogłośnie a generał Castelnau w parę dni później mógł napisać, że

powierzono mu kierownictwo i zarząd Narodowej Federacji Katolickiej (N. F. K.) i że on podjął się poświęcić jej całą działalność i ofiarność: wszyscy wiedzą w jaki sposób dotrzymał słowa.

Dnia 6 listopada przewodniczący N. F. K. żądał usilnie, aby wszyscy katolicy podporządkowali się ściśle określonej organizacji, której podstawy sam ustalił.

Natychmiast zaofiarowano tymczasowej siedzibie na ulicy Saints-Pères 76 — współpracę, dobrą wolę i różnorodną działalność. Generał Castelnau zamienił się w nowego Piotra Eremitę i począł przebiegać Francję, stawiając czoło znużeniu, któreby młodszego odeń mogło powalić z nóg. Wielkie zebrania tłumów katolickich mnożyły się. 10 lutego w Marsylji N. F. K. miała pierwszych męczenników. 18 lutego na pamiętnem zebraniu ustawodawczem 200 delegatów z wszystkich djecezyj Francji zobowiązało się — że tak powiem — piśmiennie do wykonania zuchwałej i mądrej zarazem inicjatywy generała Castelnau i nadało Związkowi katolików francuskich uświęcenie oficjalne i prawidłowy statut.

Założono więc N. F. K., a podstawy jej były silne i szerokie. Obrała sobie ona siedzibę przy ulicy Montparnasse 36; jej zasługi rozwijały się i wzmagały swą czynność. Utworzył się rodzaj Ministerstwa katolickiego czynu, w cieniu kościoła Notre-Dame-des champs (Najświętszej Marji Panny Polnej).

Dzieło N. F. K.

Jaki duch ożywiał rodzącą się N. F. K.? Jakie były jej wytyczne? Jakie miały być metody czynu? Co przedsięwzięła i jakie osiągnęła rezultaty?

N. F. K. ożywiana wielkim duchem wiary, duchem czysto katolickim, wzięła sobie za zadanie złączenie wszystkich katolików dla czynu obrony i zdobyczy religijnych, dla sprzeciwu i pozytywnego upomnienia się o naprawę prawnych niesprawiedliwości i zabezpieczenia utrzymania zasad moralnych i społecznych, których dobrodziejstwa katolicyzm przedstawia pojedynczym osobnikom, rodzinom, pracownikom, a także ojczyźnie i społeczeństwu w najszerszem tego słowa znaczeniu.

Wzięła na siebie obowiązek wykonania planu działalności katolickiej, które Jego Świętobliwość Pius X wyraził ongiś w tych słowach: „Zwalczać wszelkiemi sposobami słusznemi i prawnemi cywilizację antichrześcijańską, zapobiegać wszelkiemi sposobami najpoważniejszym nieporządkom, które z niej wypływają, przywrócić Jezusa Chrystusa w rodzinie, w szkole, w społeczeństwie, przywrócić zasadę władzy ludzkiej, będącej przedstawicielką władzy boskiej, wziąć nadewszystko do serca interesy ludzi, a zwłaszcza klasy robotniczej i wiejskiej i to nietylko w ten sposób, by wpajać we wszystkie serca zasadę religijną, jedyne prawdziwe źródło pociechy w uciskach życia, ale także usiłować osuszać ich łzy, łagodzić cierpienia, poprawiać rozsądnemi sposobami warunki ekonomiczne ich życia. A skutkiem tego starać się, by prawa publiczne były zgodne ze sprawiedliwością, naprawiać i usuwać te, które temu nie odpowiadają, a wkońcu bronić i podtrzymywać w duchu naprawdę katolickim prawa Boga we wszechrzeczach i niemniej święte prawa Kościoła".

Federacja, na ogólnem zebraniu ustawodawczem z dnia 18 lutego, kie-

rując się wielką mądrością, ogłosiła swą niezależność od jakichbądź stronnictw. Już w statutach przejawiła zamiar wykonywania wszelkich czynności obywatelskich, koniecznych lub pożytecznych, leżących w interesie religji, rodziny, społeczeństwa, zachowania spuścizny narodowej, lecz postanowiła pozostać obcą wszelkim politycznym stronnictwom i polityce stronnictw, w ten sposób, że przyjmuje zwolenników wszystkich partyj, byleby nie byli to przeciwnicy religji, moralności i porządku społecznego. Z pośród głównych i pierwszych sposobów działalności, które się jej nastręczały, wskazała na zbieranie podpisów podań, składanych w biurze parlamentarnem, porozumienie się z kandydatami do mandatów publicznych, celem przedłożenia im swego programu i celem zwalczania lub podtrzymywania ich zależnie od przyjęcia przez nich tego programu, oficjalne kroki u rządu i t. d.

Wyraźnie zaznaczono, że zwolennicy N. F. K. zachowują bezwzględną wolność należenia do politycznych partyj wedle własnego wyboru, federacja bowiem postanawia pozostać obcą wszelkiemu stronnictwu politycznemu i wszelkiej polityce stronnictw.

N. F. K. ukazuje się nam więc jako zorganizowane zrzeszenie katolików, zgromadzonych na sposób wielkich syndykatów związanych sprawami moralnemi lub materjalnemi, w celu podjęcia czynności apologetycznej i moralnej zapewne, ale także w celu podjęcia działalności w dziedzinie obywatelskiej dla obrony interesów moralnych katolicyzmu i ocalenia interesów materjalnych swych instytucyj.

Ważne zastrzeżenie: ten wielki przegląd katolików, to parcie do zrzeszenia się katolików praktykujących, lub ludzi, którzy zachowali dla katolicyzmu życzliwość i szacunek, zbiegło się z okresem niepokojów społecznych z racji ujawnienia się bezpośredniej groźby komunizmu, który stawał się coraz zuchwalszy. Te niepokoje coprawda wynikały także z załamania się zaufania, które rząd i państwo niejako podniecały z zamiłowaniem przez politykę oszustną, demagogiczną i sekciarską. Kredyt publiczny był podcięty, finanse wstrząśnięte, interesy w zastoju.

Ten niepokój i przewidywanie groźnych niebezpieczeństw ekonomicznych i społecznych doprowadziły ludność wierzącą, poważaną przez Francuzów, miłośników prawdziwej wolności i przyjaciół porządku, do odnowienia na wzór dawnych pokoleń prawdziwego aktu wiary w historyczne posłannictwo Kościoła, jako siły umoralniającej ludy, szafarza sił moralnych i społecznych, dzięki którym społeczeństwa uchodzą zguby, trwają i dźwigają się.

Rezultaty.

Zgromadzenia ludowe katolickie, które w ciągu kilku miesięcy umożliwiły ewangelizowanie, jeżeli można się tak wyrazić, — więcej niż dwóch i pół miljona ludzi, — obywateli czynnych — były olśniewającym dowodem tego aktu wiary.

Przeciwnicy katolicyzmu ulegli głębokiemu wzruszeniu, oraz oszołomieniu jakby pod wpływem ciosu. Zrozumieli natychmiast, że nie będą mogli urzeczywistnić pogróżek. W istocie — to pan Herriot upadł, a nie katolicyzm, któremu miał on narzucić brutalny przymus. Utrzymano ambasadę

przy Watykanie, niemal zupełnie zaprzestano niepokojenia księży, przyrzeczono Alzacji zaspokojenie i poszanowanie zdobytych praw. Zapewne, usiłowano w dalszym ciągu, w celu własnej obrony, wskazywać na działający katolicyzm jako na czynnik wstecznictwa. Usiłowano bezczelnie utożsamić ten poryw katolicki z jakimś fantastycznym faszyzmem. Bezużyteczne odwracanie uwagi! N. F. K. mogła zarejestrować próżność pogróżek antyklerykalnych. Katolicy oczywiście czują zawsze dokoła siebie złośliwość, niecierpliwie czekającą sposobności do działania, tembardziej, że rozporządza ona bronią legalną, niezniszczoną. Na razie jednak złośliwość ta hamuje się połowicznie i ogranicza się do wykonywania likwidacji dóbr pewnych kongregacyj, ofiar prawa z roku 1901. N. F. K. przypada współpracować nad zdobyczą pokoju religijnego, zapewnionego i uświęconego przez słuszne prawa.

N. F. K. wie, że dlatego będzie musiała wytyczyć sobie dalekie i wielkoduszne cele, dokładnie oznaczyć etapy, przyniewolić się do przewidywania metod czynu, wybrać rozsądnie i odpowiednio chwilę zastosowania sił, wystrzegać się interesowności i nierozważnych kompromisów z zuchwałemi lub zamaskowanemi stronnictwami politycznemi i dać dowód wypróbowanego zmysłu rzeczywistości i możliwości.

Wielkoduszne cele — znają je wszyscy: działalność obywatelska, odnowa społeczna, odrodzenie duchowe. Te wytyczne są ze sobą związane. Odrodzenie duchowe jest jednym z zasadniczych warunków solidnej odnowy społecznej, albo jeżeli się odwróci wyrazy w zdaniu — wszelka trwała odnowa społeczna jest podporządkowaniem odrodzeniu duchowemu, które działa za pomocą głębokiego przenikania do organicznych komórek społecznego ciała, i zasad duchowych odnawiających; to przenikanie organiczne przyjmuje, że utrzymanie tych zasad duchowych jest zapewnione, ich rozpowszechnianie jest umożliwiane, tolerowane, albo jeszcze lepiej, ułatwiane. A ponieważ we Francji niestety przeciwna zasada stała się legalną regułą, czyn obywatelski katolików musi z konieczności dążyć do możliwego zachowania i rozszerzania zbawczych zasad duchowych przez przeobrażenie lub zniesienie praw, które zapoznają ich doskonałość społeczną, lub przeciwstawiają się ich zachowaniu i rozpowszechnianiu.

Ważne to bardzo zadanie. N. F. K. musi trwać, aby je spełnić, aby trwać musi być organizacją stałą, metodyczną, sięgającą w głąb. Organizacja ta musi być ożywiona czynnością w pewien sposób apostolską, cierpliwą, zarówno jak zdobywczą, wymaga organizacyjnego mózgu i sprężystej woli na czele, a członków giętkich, silnie z sobą związanych. Winna ona posiadać program praktyczny, plan przystosowany do rzeczywistości i do możliwości, przewódców i oddziały wojsk, środki materjalne odpowiadające jej złożonym postaciom, odpowiadające rozciągłości i zadaniom, środki związane w jeden organizm rządzący, wprawiany w ruch w odpowiednim momencie doświadczoną ręką.

Oto ku czemu zmierza w chwili obecnej N. F. K., otoczona jednogłośnem uznaniem 86 biskupów, arcybiskupów i kardynałów metropolji, podtrzymywana przez powszechną życzliwość i formalne uznanie Jego Świątobliwości Piusa XI.

Mimo nieuniknionych trudności, sparaliżowanych planów, niedoskona-

łości, które są udziałem każdego ludzkiego przedsięwzięcia, nawet odnośnie do planu religijnego, katolicy francuscy mogą spodziewać się, że N. F. K. przyspieszy godzinę pokoju religijnego, tak słusznie i tak niecierpliwie oczekiwanego. W ten sposób N. F. K. raz jeszcze wykaże, że wedle słów Taine'a „Stara Ewangelja jest jeszcze najlepszym pomocnikiem instynktu społecznego i że Kościół jest tym, który trwa".

W ten sposób N. F. K. potwierdzi prawdziwość rozsądnego zdania Leona Harmela, „Dobrego Ojca": „Nasi wrogowie są naszymi zbawcami, bezwiednie zbliżają do portu naszą barkę, zagrożoną niebezpieczeństwem".

Almanach catholique.

—o—

KREW CHRYSTUSOWA.

Czy chcecie posłuchac o mocy Krwi Chrystusowej? Cofnijmy się do jej figury i przypomnijmy sobie pierwowzór, i według Starego Testamentu opowiedzmy. W Egipcie, w pośród nocy, Bóg groził dziesiątą plagą Egipcjanom, taką, że miało zginąć wszystko, co pierworodne, ponieważ zatrzymywali jego lud pierworodny. Lecz aby umiłowany lud żydów nie ucierpiał wraz z tamtymi, ponieważ w jednem miejscu znajdowali się wszyscy, wynalazł sposób rozpoznania jednych od drugich. Stąd przedziwna figura, abyś poznał moc zawartą w tem, co jest urzeczywistnieniem tej figury. Izrael pokładał nadzieję w gniewie oburzonego na Egipcjan Boga, a poszczególne domy obchodził Anioł niszczyciel.

Cóż tedy Mojżesz? Zabijcie — woła — baranka jednorocznego a krwią jego pomażcie odrzwia.

Co mówisz Mojżeszu? Czy zdarza się, by krew owcza, zwykła wybawiać rozumnego człowieka?

I to bardzo — mówi. Nie dlatego, że jest krwią, lecz dlatego, że przedstawia ona figurę Krwi Pańskiej. Podobnie bowiem jak posągi panujących, które są bez rozumu i mowy, czasami zwykłe były pomagać uciekającym się do nich ludziom, obdarzonym duszą i rozumem, nie dlatego, że są wykute ze spiżu, lecz dlatego, że przedstawiają obraz panującego, tak i krew owa, która była bezrozumna, ratowała ludzi mających duszę, nie dlatego że była krwią, ale dlatego, że zwiastowała tej Krwi nadejście. I wtedy ów Anioł niszczyciel, gdy zobaczył namaszczone odrzwia i wejścia, mijał je i nie śmiał wejść. Teraz więc, gdy

ujrzy nieprzyjaciel nie krew namazaną na odrzwiach figury, lecz Krew błyszczącą na ustach wiernych, poświęconą na odrzwiach świątyni prawdy Chrystusa, tem bardziej się cofnie. Jeśli bowiem Anioł ustąpił przed figurą, o ileż więcej przerazi się nieprzyjaciel, gdy spoglądnie na samą prawdę?

Czy chcesz inną jeszcze moc tej krwi zbadać? — Chcę. — Patrzże tedy najpierw, skąd wypływa i z jakiego źródła się sączy. Najpierw wyszła ze samego krzyża, bok ów Pana był początkiem. Gdy bowiem — mówi Pismo — umarł Jezus i jeszcze wisiał na krzyżu, przybliżył się żołnierz, przebił bok włócznią a stamtąd wypłynęła woda i Krew, jedna symbol chrztu, druga symbol sakramentu. Dlatego nie mówi Pismo św.: wyszła Krew i woda, lecz wyszła najpierw woda i Krew, gdyż najpierw chrzest nas obmywa a potem nas poświęca tajemnica.

Bok żołnierz otworzył i drogę utorował przez ścianę świętego przybytku. A ja znalazłem skarb przesławny i winszuję sobie, żem natrafił na olśniewające bogactwa.

Tak się też stało z owym barankiem. Żydzi zabili owcę a ja poznałem owoc sakramentu. Z boku Krew i woda. Nie chcę jednak słuchaczu, byś tak łatwo minął głębie tak wielkiej tajemnicy. Pozostaje mi bowiem jeszcze podać znaczenie mistyczne i ukryte. Powiedziałem, że ta woda i Krew okazują symbol chrztu i tajemnic. Na nich bowiem opiera się święty Kościół, przez odrodzenie obmyciem i przez odnowienie Duchem świętym. Przez chrzest mówię, i tajemnice, które, jak widzieliśmy, wyszły z boku. Z boku więc Swego zbudował Chrystus Kościół, jak z boku Adama wyszła Ewa, jego małżonka. Z tego bowiem powodu świadczy także Paweł mówiąc: Z jego ciała i kości jego jesteśmy, wskazując mianowicie przez to na ów bok. Jak bowiem Bóg sprawił, że z owego boku pochodzi kobieta, tak też ze swego boku Chrystus dał nam wodę i Krew, by z nich odnawiał się Kościół.

Św. Jan Chryzostom.

—o—

PRZEŚLADOWANIE KATOLIKÓW W MEKSYKU.

Prześladowanie katolików szaleje w tej chwili w Meksyku z wściekłością. Niema poprostu innego wyrażenia. Władze meksykańskie wysilają się, by wprowadzić w błąd opinję publiczną za granicą. Jest jednak rzeczą charakterystyczną, że prasa meksykańska — można rzec jednogłośnie —

z dziennikami liberalnemi włącznie, — ujawniła prześladowczą postawę rządu. Zresztą rząd formalnie zabronił dziennikom podawania informacyj o zajściach religijnych i komentowania takowych.

W Meksyku rzeczywiście ustaliło się panowanie niesłychanego sekciarstwa. Wszyscy, nawet najspokojniejsi obywatele dostają się do więzień pod pretekstem rozpowszechniania podań w sprawie naprawy konstytucji z r. 1917, opracowanej w duchu pogwałcenia wolności wykonywania religji. Dla dokładności należy powiedzieć, że chodzi tu jedynie o religję katolicką, duchowni bowiem innych obrządków mają zapewniony spokój.

Pięć wielkich stowarzyszeń katolickich w Meksyku przedstawiło prezydentowi Rzeczypospolitej podanie w duchu pojednawczym, żądające w tonie umiarkowanym sprawiedliwych gwarancyj. Dokument ten jest prawdziwem odwołaniem się do ugody, a powołuje się na wysoki przykład pana Clemenceau, który w zetknięciu z rzeczywistością umiał wznieść się ponad przekonania jakobińskie. Podpisały go następujące zrzeszenia: Narodowy Związek kobiet katolickich, Rycerze Kolumba, Katolickie Stowarzyszenie młodzieży, Narodowa Katolicka Konfederacja pracy i Liga Narodowa obrony religijnej. Wskutek tego kroku u rządu Rzeczypospolitej prześladowania się podwoiły. Zamknięto nietylko szkoły powszechne, ale także średnie. A w działalności niższej policji agenci rządowi przebierają wszelką miarę. W ten sposób wyrzucono na ulicę meble kolegjum Nawiedzenia Najśw. Marji Panny. Zamykanie kościołów. Wydalanie cudzoziemskich kapłanów i zakonników. Ograniczenie liczby wikarych. Nawet instytucje dobroczynne podlegają skutkom gwałtów antiklerykalnych. Wszystko jedno czy to będą szpitale dla chorych, czy przytułki dla dzieci, lub starców! Trzeba, wedle słów prezydenta Calles, wykonać prawo z nieugiętą bezwzględnością.

To zamykanie szkół, kościołów, przytułków, te wydalania stały się przyczyną ohydnych scen. Gdy chodziło o wzbronienie dostępu do kościoła Św. Rodziny w dzielnicy Colonia Roma, policja rzuciła się z rewolwerami w ręku.

Ponieważ tłum złożony z kilku tysięcy ludzi nie ustąpił przed strzałami oddanemi dla postrachu w powietrze, przeto straż ogniowa zalała go strumieniami wody. Dużo kobiet brutalnie traktowano i poraniono. Wewnątrz gmachu policja, potrząsając ciągle rewolwerami, wypędziła kapłanów. Ojca Hura, tudzież dwóch innych księży narodowości hiszpańskiej odwieziono celem deportacji do Vera-Cruz. Dla zaznaczenia ważności sekciarskiego ruchu zaznaczamy, że wydalono dwustu dwóch księży. W Meksyku i w okręgu związkowym zamknięto trzydzieści ośm szkół. Prezydent Calles rozesłał do wszystkich gubernatorów Stanów Meksykańskich okólnik, polecający im przedsięwzięcie koniecznych środków dla wykonania z całą surowością prawa z 1917 r. Mimo licznych prowokacyj, większość ludności, z pominięciem wyjątków, zachowała spokojną postawę. Wierni słuchają wskazówek swych pasterzy. Biskup z Vera-Cruz polecił swym wiernym zachowanie postawy umiarkowanej i unikania wszelkiego czynu niepomyślanego. Biskup z Saint Louis Potosi nakazał zorganizowanie pokojowej manifestacji. Tłum katolicki rozwinie się w procesji poprzez ulice, aby otrzymać posłuchanie u gubernatora. Mgr. Herrera y Pina z Môntorey także nakazał manifestację,

domagającą się naprawy przeciwreligijnych ustaw prawnych. W pasterskim liście poleca on kapłanom i wiernym przeciwstawić czynnościom rządowym opór bierny. Nakazuje jednak nie wchodzić w układy z wymaganiami konstytucyjnemi, a księża o ile zajdzie potrzeba, mają opuścić kościoły.

—o—

ZAKAZ ALKOHOLU W AMERYCE A KATOLICY.

Kardynał O'Connell powiada w wywiadzie, ogłoszonym w bostońskim „Pilocie", oficjalnym organie bostońskiej diecezji: „Gdyby ta nader ważna sprawa przymusowej prohibicji była jedynie kwestją osobistego zbiegu okoliczności, lub osobistego smaku, to moglibyśmy spokojnie oczekiwać czasów, kiedy publiczność wyrobi sobie o niej ustalone przekonania, i spodziewać się zdrowego ustawodawstwa. Ale niektóre wystąpienia, szczególnie te, które mają wyrażać katolicki punkt widzenia, tak wypaczają zasady katolickie, że zapoznanie szerokiej publiczności z prawdziwem zapatrywaniem katolickiego Kościoła będzie rzeczą nader interesującą.

Stanowisko Kościoła.

Stwierdziwszy, że Kościół nie potrzebuje namowy do zwalczania niewstrzęmięźliwości, Jego Eminencja powiada dalej: „Od czasów kiedy św. Paweł przestrzegał Efezów przed upijaniem się winem, kapłani kościoła walczyli wiernie z tym wstrętnym występkiem, ale — i tu leży sedno sprawy, — abusus non tollit usum — (nadużycie nie przekreśla używania) — piwo, wino i t. p. trunki nie stanowią zła same w sobie. Posiadają one uprawnioną użyteczność, począwszy od najwyższego zaszczytu, jakiem obdarzono wino i chleb będących tworzywem Najświętszego Sakramentu, aż do ich najpospolitszego zadania, polegającego na krzepieniu i pojeniu rolnika strudzonego ciężką pracą.

Na nieszczęście niektórzy protestanci nie podzielają tego punktu widzenia, my zaś zostaliśmy zaproszeni do współpracy z nimi nad postępem wstrzemięźliwości; wskrzeszając starą herezję akwarjan, pragną oni usunąć wino nawet z Sakramentu Ołtarza; jak Neo-Manichejczycy chcieliby nas obłąkać i wciągnąć wraz z sobą na ciernistе szlaki fałszywej fizyki i metafizyki.

Kościół katolicki nie może posłuchać takiego wezwania. Chętnie przyklaskuje on całkowitej abstynencji, w razie, jeżeli człowiek silnej woli zrzeka się napojów wyskokowych przez miłość dla brata, posiadającego słabszą wolę.

Nie chce on być narzędziem.

Ale zupełnie inną rzeczą jest powszechny przymusowy zakaz, ponienieważ stoi on w całkowitej sprzeczności z pismem świętem i z tradycją katolicką. Ponadto, twierdzenie, jakoby patologja i dietetyka wydały potępiający wyrok na wszelkie trunki starego świata — jest zupełnie błędne.

Pomimo, że wyjaśniliśmy po tysiąc razy, iż chcemy pracować z naszymi odpadłymi braćmi jako rzecznicy wstrzemięźliwości, to jednak nie staniemy się narzędziami w ręku tych, których polityczne wyznanie zmierza do

rozszerzenia zakazu na cały świat przez przymusowe zarządzenia i którzy dopuszczają się ciągle nielojalnych zamachów, aby nas oplątać.

Parę miesięcy temu kilku prohibicjonistów w Stanach Zjednoczonych uknuło otwarty spisek, mający na celu wciągnięcie w pułapkę papieża; proszono go mianowicie o moralne poparcie ubezpieczające przestrzeganie prawa prohibicji. Podstęp szpetnie spalił na panewce.

Protestanci zarówno jak katolicy byli oburzeni pomysłem prohibicjonistów, usiłujących pozyskać moralną powagę „obcego władcy" i wciągnąć go w lokalne sprawy ojczyzny, ci zaś nielojalni Amerykanie, widząc co się dzieje, postanowili wykręcić się z tego nieudanego projektu odwoływania się do Papieża, zanimby odczuli skutki tego czynu na własnej skórze. Obecnie jeden zwala winę na drugiego i w gorączkowym pośpiechu wypierają się tego pomysłu.

Oświadczenie Kardynała Bourne.

Prohibicjoniści wytworzyli sobie fatalny obyczaj opacznego przedstawiania faktów i nadal prowadzą tę grę. Praktykowali tę fałszywą interpretację przez cały okrągły rok. Przejdź z nimi milę, a oni będą się chełpić, żeś szedł z nimi od urodzenia. Przyrzeknij współpracować z nimi przy pomocy kształcenia i moralnego przekonywania o wartości prawdziwej cnoty wtrzemięźliwości, a ani ostatecznie skompromitują cię ową całkowitą przymusową abstynencją.

Ostatnio kardynał arcybiskup z Westminsteru ustalił następujące zasady: „Zakaz jest z wszelką pewnością niepedagogiczny". Wedle mego zdania jest on antitezą i przeciwieństwem wstrzemięźliwości. Jest to otwarte przyznanie się do bankructwa. Pozostawienie decyzji każdemu okręgowi z osobna, jest jedynym środkiem prowadzącym do celu.

Te słowa kardynała arcybiskupa z Westminsteru są zupełnie jasne, mimo to stale utrzymuje się we wszystkich publicznych miejscach, że Kardynał mocno popiera pozostawienie decyzji każdemu okręgowi z osobna (lokal option).

Złamanie prawa kanonicznego.

Powtórzywszy cytat św. Jana Chryzostoma, który sędzia Salter odczytał w ciągu ostatniej oszczerczej akcji, oraz cytat z bieżącego numeru „Przeglądu Kwartalnego", Kardynał powiada dalej: Nie jest nową rzeczą, że niektórzy ludzie, walczący zaciekle na korzyść prohibicji, nie wahają się łamać najświętszych praw i skutkiem tego nikt nie powinien się dziwić, że nieposkromieni mówcy i pisarze, którzy czują się tak bardzo dotknięci jakiemś odchyleniem od prawa cywilnego, nie wahają się łamać prawa kanonicznego".

Kardynał O'Connell kończy wywiad temi słowy: „Może publiczność, a wydawców w szczególności zainteresuje wiadomość, że Kościół posiada mądre i ostrożne prawa, które nie pozwalają duchownym na wypowiedzenie się drukiem. Mam odwagę powiedzieć, że publiczność naogół czuje, iż duchowny, który nie słucha praw własnego kościoła, niema nic takiego do powiedzenia, coby było godne druku".

—o—

OSTATECZNE SPACZENIE POSTACI JOANNY D'ARC.

(Dokończenie.)

Rzućmy pokrótce okiem na to, jak koncepcja sofisty wcieliła się w formy artystyczne.

Pierwszy obraz. Zamek Vaucouleurs, książę Baudricourt i jego majordomus. Książę jest wściekły, ponieważ na zamku niema ani jednego jaja. Joanna, która właśnie przybyła, oczarowała już wszystkich, sam książę jest zwyciężony. Do majordomusa, który mu melduje o znalezieniu kur i pięciu kopach jaj, woła: Bóg ją przysyła. Joanna otrzymuje konia, broń, eskortę i udaje się do Chinon. Obraz ten malowany z wielką umiejętnością, postacie niesłychanie wyraźne, djalog zwięzły, porywający, z wyjątkiem ordynarnego języka żołdactwa, księcia Roberta i humoru dla nas nie zawsze w najlepszym guście.

Drugi obraz. Chinon, na dworze Delfina. Gadatliwy arcybiskup z Reims, który żartuje na temat cudów, prostych przypadków, naiwnych wymysłów księży, poezji, które stwarzają wiarę. Następnie farse pomysłu Gilles de Rais, który nakazuje, by ktoś udawał Delfina, którego naturalnie Joanna zaraz poznaje po bródce niebieskiej. Delfin zupełny niedołęga umysłowy. Nie rozumiemy jak krytyk poważny mógłby zganić aktora, przedstawiającego Delfina, za to iż z niego zrobił idjotę, i naprawdę idjotę. Trzeba widzieć, by wierzyć, co mówi i co robi. Joanna przemawia do niego jak do chłopca niedorozwiniętego, trzęsie nim, przeciąga na swoją stronę, zdobywa dowództwo nad wojskiem. Ponad farsą pałacu królewskiego błyszczy miecz Dziewicy i brzmi jej okrzyk: Do Orleans! Epiczny kapelusz na głowie arlekina. Doprawdy nikczemnemu zachowaniu się Delfina i dworu brak wszelkiej godności. Karol był niedołęgą, człowiekiem bez woli, nie był matołkiem. Nie wolno tak zmieniać historji, nawet humoryście z Dublina. A to powiedzmy, mimo zawodowej umiejętności. Obraz głupi jak i osoba Delfina.

W trzecim obrazie, który kończy drugi akt, jesteśmy nad brzegiem Loiry w Orleans. Dunois, paź Joanny, potem ona. Wieczór pełen poezji i powiewu. Wiatr się zmienia — prosty przypadek, powiedziałby arcybiskup z Reims — ale to poezja, która stwarza wiarę i już Dunois klęka i oddaje buławę dowódcy Joannie, która płacze i obejmuje go. Łodzie wyruszają na Loirze. Obraz bardzo piękny, gdzie idylla łączy się z epopeą, który pokazuje, coby Shaw potrafił, gdyby polemista zbyt prędko nie brał góry nad artystą.

Akt trzeci, pierwszy obraz: namiot angielski: kapelan, Warwick i Cauchon. Długa dyskusja o protestantyzmie i nacjonaliźmie Joanny i jej śmierci, postanowionej bez ceremonji. Djalog bez końca, z humorem tutaj skutecznym — gdy humor Shaw'a rzuca się na anglików jest doprawdy świetny — rozwija djalektycznie sztuczne podstawy, na których stoi całe dzieło.

Drugi obraz i koniec trzeciego aktu: po konsekracji w Reims. Podłość i nikczemność dookoła Świętej triumfującej. Potężny pomysł, skażony zwykłą humorystyką; Delfin idjota, koronację, — mistrzowskie posunięcie jak mówi biskup z Beauvais, — kończy głupią farsą, mówi wreszcie o oleju, który był...

stęchły. Nadzwyczajny szkic Joanny, która jest sama, zawsze była sama, jak Bóg i Francja, i w tej samotności, która jest siłą od Boga, zwycięży.

Akt czwarty; jedyny obraz, malowany wielkiemi pociągnięciami. Zderzenie się Joanny z jej sędziami, tłem obrazu pierwszy błysk stosu, potem krzyk kapelana angielskiego, który wypada na scenę mając oczy i serce pełne wizji okropnej i wzniosłej, języki płomieni, okrutne śmiechy widzów, wielkoduszność Świętej, jej ostatnie wykrzyki i westchnienia Jezu, Jezu Jezu! Ten kapelan to najpotężniejsza postać obrazu, właściwie nawet jedyna potężna. Obraz ten, w którym napięcie dramatu powinno dochodzić do szczytu, psuje podstawowa sztuczność koncepcji. Ten Cauchon, który przedstawia Kościół i ta Joanna, która jest protestem duszy niezawisłej, buntem wolnego badania, dają nastrój właśnie taki, jakiego autor chciał uniknąć, melodramatu. Niema nemezis historycznej dwóch ślepych sił, postępu i konserwatyzmu, które zderzają się w najwyższem napięciu, jest tylko dwoje deklamatorów. Biskup, który ma imię Kościoła ciągle na ustach, który okrywa się płaszczykiem jego autorytetu, jest nikczemnem narzędziem polityki angielskiej. Joanna, która szukała racjonalistycznego wytłumaczenia dla swoich *głosów* — więc wierzy w nie czy nie wierzy? — która cofa i wypiera się zupełnie swej misji, która potem to odwołuje, gdy jej zapowiadają więzienie dożywotne, dlatego, że chcą ją pozbawić wolności i słońca, i w tej przewrotnej woli znajduje potwierdzenie prawdziwości swych *głosów*, która nazywa głupcami i przedrzeźnia sędziów i przybiera pozę Sokratesa, okrywając się chwałą stosu jakby płaszczem wzgardliwej wyższości, — nie jest Dziewicą prostą i wzniosłą, siłą wiary, genjuszem Boga, która wznosi się i niezmiernie góruje nad tą garstką sług i politykujących, albo niedołęgów, albo tchórzów, albo nikczemnych, którzy nadużywają religji; ale jest dziewczyną wiejską, zarozumiałą i upartą, którą z niej zrobił Shaw, chociaż z dobrą intencją, by z niej uczynić Świętą, nie jest to Joanna, ale parodja Joanny. By mieć konflikt potężny, wspaniały, wystarczało trzymać się historji. Szkoda; sofista zupełnie zabił artystę.

Dramat właściwie jest skończony. Ale mamy do czynienia z Shaw'em, więc oto epilog: 25 lat po spaleniu Joanny. Karol VII wyciągnięty w łóżku, przegląda ilustrowanego Boccaccia, podczas wietrznej, czerwcowej nocy. Zjawiają się z Joanną jedna po drugiej osoby ze dworu i przyłącza się do nich wśród najgłupszych wybuchów śmiechu, autentyczna osobistość XX wieku, we fraku i cylindrze na głowie, która w formie urzędowej obwieszcza kanonizację dziewicy, jak brat Marcin był obwieścił rehabilitację jej w procesie. Wszyscy klękają i odmawiają litanję, wyrażającą cześć dla Świętej. Ale Joanna się pyta czy będzie mogła wrócić na ziemię jako kobieta czynu, niezawisła tak co do sposobu ubierania się, jak czynności. Przez litość! Byle tylko nie przyszło jej na myśl tak zrobić, znowu by ją spalili. Rozczulają się wszyscy, ostatni wchodzi żołnierz, śpiewając ordynarną piosenkę i powiedziawszy parę głupstw o piekle — wypowiada naukę z bajki: „Ja mówię, — mówi do Joanny — że masz tak samo dobre prawo mieć swe zdanie, jak oni mają swoje, a może jeszcze bardziej". Święta, która za jego książkę nazwała Karola VII głupcem i pozdrowiła zwycięzcę, dawnego matołka, mówiąc „Dobranoc Karolku", pozostaje na chwilę w świetlanej aureoli,

wołając do Boga, kiedy ta piękna ziemia będzie gotową na przyjęcie Jego świętych?

Czy konflikt dwóch sił nieświadomych i fatalnych dosięga tu szczytów wzniosłego humoru? Niech wierzy w to, kto chce, ale naprawdę jest tutaj tylko szczyt najgłupszej farsy. Konflikt jest w historji i trzeba było go przedstawić w czwartym akcie. W rzeczywistości to nie aureola świetlana jest epilogiem epilogu, ale owo „Dobranoc Karolku". Może Shaw bronić się jak mu się podoba w polemice wstępnej, i opierać się na prawach autora, by epilog dyskutowany i dający pole do dyskutowania pozostał, ale jego racje nic nie znaczą. Prawdą jest, że stos w Rouen to nie koniec ale początek, prawda, że trzeba było obwieścić giest „wspaniale rzymski kanonizacji" — choćby dlatego, że kanonizowana jest według poglądu Shaw'a... protestantką — ale artysta powinien był znaleść inne środki i inne sposoby. To wszystko jest bardzo godne ubolewania, dlatego, że dobre intencje autora kazały nam się spodziewać znacznie więcej i znacznie czegoś lepszego; dlatego, że postać Joanny szlachetnie czysta, choć obijająca się w ciasnocie sztuczności i śmieszności, jak pośród swych sędziów, sprawia na czytelnikach jak i na słuchaczach potężne fascynujące wrażenie niezwyciężonym czarem świętości. Dlatego życzymy, by piękne wywody Ghéon'a z Francji wszędzie się rozeszły, i oby Bóg nam dał wielkich wierzących i wielkie umysły, któreby przedstawiały tłumom w szlachetnych formach sztuki, świetność świata hagjografji chrześcijańskiej.

Wedł. Osservatore Romano.

—o—

Odżycie katolicyzmu w młodzieży inteligencji francuskiej.

W niedzielę 21 marca, o 8 rano w kościele Matki Boskiej Zwycięzkiej, według ustalonego zwyczaju od 1922 — odprawioną została msza św. z komunją wielkanocną dla różnych korpusów marynarki wojskowej obecnych w Paryżu.

150 oficerów różnych stopni, od najmłodszych chorążych do vice-admirałów dawno już w rezerwie, zebrało się do okoła ołtarza, by wysłuchać mszy św. odprawianej przez ks. Sudour, dawnego kapelana wojskowego — dyrektora szkoły im. Bossuet'a.

Po Ewangelji czcigodny Ojciec Janvier w spaniałem przemówieniu zwrócił ich uwagę na dobrodziejstwa, które można osiągnąć w Eucharystji, jeżeli się jest godnie do przyjęcia Jej przygotowanym. Światły Dominikanin z równą zawsze wymową umiał wykazać duszom tych marynarzy — równie słabym wobec zła, jak okręt wobec burzy — jaki posiłek, jakie wzmocnienie i jaką radość można czerpać w przyjmowaniu św. Sakramentu. Pod wrażeniem takich to słów wzruszających całe audytorjum przystąpiło do Stołu Pańskiego i dopiero po modlitwach na intencję marynarki francuskiej, odmówionej na wezwanie ks. Rubour — rozeszli się zebrani.

Stwierdzić należy z radością, że liczba oficerów marynarki, obchodzących wspólnie Komunję Wielkanocną, zwiększyła się od 1922 r. a to 60 na 150. Jest to cyfra stosunkowo duża — jeżeli się bierze w rachubę ograniczoną liczbę marynarzy w okręgu paryskim.

W tym samym dniu o tej samej godzinie w kaplicy św. Ludwika u Inwalidów, odbyła się msza św. z Komunją Wielkanocną, na której po raz pierwszy zebrali się uczniowie i byli wychowankowie szkoły Saint-Cyr. Byli oni w liczbie sześciu do siedmiuset, co wobec tego, że była to pierwsza próba, tem bardziej zasługuje na uwagę. Uroczystości tej przewodniczył Mgr. Roland-Gosselin, koadjutor Mgr. Gibier, biskupa wersalskiego, w którego diecezyj znajduje się szkoła Saint-Cyr.